Nr. 22 We Lwowie, 16 listopada 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

H. M.

O Pierwszej Pow. Polskiej Wystawie Łowieckiej w Poznaniu w 1929 r.

Jakkolwiek wystawę tę już zamknięto, a eksponaty powróciły na swoje miejsce domowe i mimo, że niemal w każdym numerze czasopism łowieckich był już jakiś artykuł o niej traktujący — to sądzę jednak, że sprawa jej nie przestała jeszcze być aktualną i wiele jest jeszcze materjału o niej do dyskusji i do napisania.

Każdy autor tych artykułów wymienił zalety i wady wystawy. Wytknięcie tychże musi być dla wielu, którzy się do winy poczuwają, rzeczą nie miłą — ale jest koniecznie potrzebną choćby z tego względu, aby na przyszłych wystawach unikać błędów dawnych, usuwać niedomagania poprzednie, ulepszać to co było dobre, słowem uczynić wszystko, aby następne były bez błędu i zarzutu. Krytykując ujemne strony, nie znaczy obrzucać kamieniami ludzi, którzy ponieśli niezaprzeczone zasługi ze stratą swego czasu, mienia i energji, którzy okazali jak najlepszą wolę i chęci do uświetnienia pierwszej dekady, naszej napowrót zjednoczonej i po długiej niewoli oswobodzonej Ojczyzny, ale poprostu dla wzajemnego pouczenia się i braterskiego, koleżeńskiego udzielenia wskazówek, że to i owo mogło wypaść jeszcze lepiej.

Wiemy, że nie zawsze winę ponosi dana osoba albo cały komitet, czy jego sekcja — ale jakieś fatum, które stoi na poprzek najlepszym zamiarom i chęciom i plącze je i mota jakby na przekór. Za mało mamy jeszcze doświadczenia z wystawami, gdyż urządzamy je rzadko i mieliśmy ich dopiero kilka, w przeciwieństwie np. do naszych sąsiadów z zachodu, którzy urządzają co roku mniejsze regjonalne a co lat kilka ogólne państwowe.

Po tym długim wstępie, zanim przystąpię do opisu samej wystawy, chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę formalną, a która nas Małopolan, szczególnie dotyczy i boli.

Tytuł wystawy brzmiał:

„Pierwsza powszechna polska wystawa Łowiecka“. Pierwszą ona nie była, lecz drugą, gdyż pierwszą była we Lwowie w roku 1927, (w której niestety Wielkopolanie, z wyjątkiem dwu, udziału nie brali). Pierwszą powszechną zatem była ona jedynie dla Poznania, ale nie dla całego naszego kraju!

Z tytułem wystawy nie było zatem zupełnie w porządku.

Co do samego pomieszczenia wystawy, wszyscy zgodnie przyznają, że pawilon łowiecki, na tę ilość eksponatów był za mały i za ciasny, za niski i o złem świetle. Dach płaski, nieszczelny, przepuszczał w dnie słotne strugi deszczu, które niszczyły skóry, powodowały ich pleśnienie i lenienie włosa, tak, że musiały być często na słońcu suszone. Światło boczne nie oświetlało wszyst-

kich ścian równomiernie. Posadzka z miękkiego cementu ścierała się szybko pod stopami a powstający z tego powodu kurz pokrywał wkrótce wszystkie przedmioty białym pyłem, co zmuszało do częstego odczyszczania i trzepania skór, a to im również nie wychodziło na dobre. Po obfitem skropieniu zaś posadzek powstawało śliskie błoto, które parując, czyniło w dnie gorące powietrze w budynku niskim i źle przewietrzanym, mdłem i dusznem.

Z powodu braku miejsca, kolekcje były zanadto ścieśnione, skupione, natłoczone, wskutek czego zlewały się ze sobą i zacierały obraz, jaki pozostawałby na zawsze w pamięci, gdyby ich rysunek i odgraniczenie były wyraźniejsze.

Opłat za miejsca pod eksponaty nie powinien był komitet pobierać. — Wystawca bowiem nie tylko ponosił znaczne koszta transportu przedmiotów w obie strony i narażał się na ryzyko uszkodzenia cennych pamiątek, lecz ponadto musiał kupować miejsce za drogie pieniądze. Wszak jedna tylko para wieńców jelenich potrzebuje conajmniej jednego metra kwadratowego. Sądzę, że wzgląd finansowy spowodowany tą uchwałą, odstraszył conajmniej 50% posiadaczy i to może bardzo ciekawych i cennych trofeów, od obesłania poznańskiej wystawy, albowiem, jak to już słusznie przedemną napisał p. Lilpop, myśliwi nie są kupcami ani przemysłowcami, aby z wystawy tej materjalną korzyść nieść mogli.

A jeżeli chodziło o przedstawienie całokształtu zdobyczy myśliwskich i okazania światu co mamy i co warci jesteśmy — powinno się było czynić takie ułatwienia, aby każdy nawet licho sytuowany leśnik, czy myśliwy i z najdalszych kresów wystawę obesłać był w stanie. Na pokrycie kosztów budowy, konserwacji pawilonu i obsługi, powinny były wystarczyć dochody z pobieranych opłat za wstępy w zupełności.

Stoiska powinny były mieć napisy, czyją są własnością. Nie każdego bowiem zwiedzającego stać było na jeszcze jeden wydatek i kupno za 2 zł. katalogu. Nie każdy zresztą miał tyle czasu, by wedle niego się orjentować i w nim szperać. Tekst katalogu był suchy, monotonny, cyfrowy, pobieżny. Nie było w nim opisu danego przedmiotu, jego nazwy myśliwskiej, że jest to np. jeleń szesnastak — czy rogacz szóstak — czy regularny, czy wsteczny lub myłkus i t. p.

Katalog z takiemi objaśnieniami, miałby znacznie obszerniejszy zakres informacyjny a przytem dydaktyczny a późniejsze przeglądanie go naprowadzałoby równocześnie w myśli obraz widzianego przedmiotu.

Odczuwać się dawał również w nim brak alfabetycznego spisu wystawców.

Premjowanie okazów, zdaje mi się było w takim chaosie za pospieszne a wskutek tego mniej dokładne, tak, że zdaniem mojem wiele ich bardzo dobrych przeoczono i pominięto, a wiele za pochopnie wysoko nagrodzono.

Wogóle złotem i srebrem szafowano na lewo i prawo i każdy zdziwić się musi, skąd się u nas w biednej Polsce tyle złota raptem znalazło.

Nagrodzono naprzykład „złotą tarczą" (!) zbiór zawartości woli i żołądków głuszców i cietrzewi, a mianowicie wydobytych z nich drobnych kamyczków. — Czyja to w tem zasługa, co za trofeum, że głuszec czy cietrzew połknął trochę kamyczków? Pewien preparator w Wilnie ma ich kilka worków a o nagrodę nie kompetował. — W wolach ptactwa domowego również znachodzi się piasek i kamyczki — gdyż te są im do trawienia pokarmu potrzebne. Jakąże nagrodę powinien otrzymać ów nauczyciel z miasta T., który z wola swej zarżniętej kury wydobył nie kamyki, lecz prawdziwą złotą austrjacką dziesięcio koronówkę?!

Wszak złota moneta aczkolwiek austrjacka, więcej jest ponoś warta i większą jest rzadkością od poleskiego piasku.

Wielu innym wystawcom — jak to mówią — upiekło się w tej ciasnocie i zgiełku, gdyż umieścili także nibyto trofea, których właściwie oko ludzkie a temmniej na wystawie krajowej, oglądać nie było powinno, co się stało ze szkodą dla pierwszorzędnych kolekcyj, które wskutek braku miejsca i skupienia nie wystąpiły tak przejrzyście i efektownie, jak na to zasługiwały.

Wystawa zawierała następujące działy:

I. — Bez nazwy w katalogu — mieszczący zdobycze i trofea myśliwych.

II. — Naukowy — zawierający modele plastyczne urządzeń łowieckich, wzory, wykresy statystyczne, tablice, fotografje, dermoplastyczne kolekcje najrozmaitszego ptactwa krajowego i ich gniazd i jaj, jakoteż głowa żubra, byka i krowy. Wystawcami było kilku członków Wielkopolskiego Związku myśliwych i 9-ciu innych wykonawców.

III. — a) literatury, — w którym prym dzierżą wydawnictwa Wielkop. Związku myśl. w ilości 35 tomów, następnie idzie p. Juljan Ejsmond z 15 tomami a w końcu Małopolskie Tow. Łowieckie z 7 tomami, (czemu nie z 51 rocznikami „Łowca"?)

III. b) — Sztuki — w którym umieścił p. Włodz. Korsak 29 rysunków piórkiem a firma „Sztuka" 7 obrazów mistrzów polskich o tematach myśliwskich.

IV. — Dział broni, amunicji i przyborów myśliwskich, obesłało dziewięciu tylko wystawców — co na tak obszerny zakres w tylu różnych fachach jest znikomą i marną ilością przedstawicieli, aż przykro o tem wspomnieć.

CZĘŚĆ II.

Zajmę się narazie tylko mojemi spostrzeżeniami w dziale trofeów myśliwskich, między któremi i broń staroświecka była umieszczona.

Wystawców w tym dziale było 111. Prym co do ich ilości dzierżyli naturalnie Poznaniacy — następnie szli myśliwi z pod dawnego zaboru rosyjskiego — w końcu małopolscy.

Użyłem niewłaściwie nazwy wyłącznej: m y ś l i w i — raczej powiedzieć powinienem „z a m o ż n i e j s i m y-

ś l i w i“ — gdyż mniej zamożnych, na obesłanie wystawy stać nie było.

Wystawiono ogółem:

Rożków sarnich 1055, w tem z preparowaną głową 11, a myłkusów 175.

Wieńców jelenich 152, w tem z preparowaną głową 8, myłkusów 10.

Łopat łosich 8, w tem z preparowanemi głowami 3 i jako wykopalisko 1.

Łopat danieli 24, w tem jedna głowa albinosa.

Rożków kozic tatrzańskich i alpejskich 8, głów wypchanych 2.

Szabel dziczych 189 par, w tem z preparowanemi głowami 19, z czaszkami 12.

Niedźwiedzi wypchanych 6.

Niedźwiedzich głów 2.

Niedźwiedzich skór z głowami 10, bez głowy 1.

Wilków wypchanych 4, w tem czarnych 3, skór z głowami 18, w tem jedna czarna, skór bez głów 5, samych głów wypchanych 11.

Rysi wypchanych 4, rysich głów wypchanych 3, skór rysich z głowami 9, 2 skóry rysi amerykańskich.

żbików wypchanych 1, skór z głowami 2.

żubra głów wypchanych 2, czaszek 4 (2 byki i 2 krowy), 1 poroże tura, wykopalisko.

Lisich głów wypchanych 2.

Kuny głowa wypchana 1.

Zajęcy wypchanych 2,

Borsuków (wypchanych) 4.

Dropi (wypchanych) 3.

Głuszców (wypchanych) 22, głów z wachlarzami 7, albinosa głuszca 1.

Cietrzewi (wypchanych) 9, cietrzewia białego (albinosa) 1, głów z wachlarzami (lirami) 2, wachlarzy (lir) na tablicach 200.

Skrzekotów (wypchanych) 2.

Pardw (wypchanych) 2.

Jarząbków (wypchanych) 2.

Słonek (wypchanych) 6.

Orłów (wypchanych) 16.

Jastrząbków (wypchanych) 8.

Puchaczy (wypchanych) 2.

Sów (wypchanych) 4.

Żóraw (wypchany) 1.

Gęsi dzikich (wypchanych) 3.

Krzyżówek (wypchanych) 8.

Kaczka Gągoł 1.

Kaczka Krakwa 1.

Perkozów dwuczubnych 6.

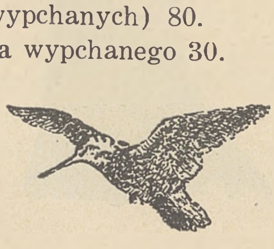
Czapel siwych wypchanych 5.

Czapel bąków (wypchanych) 2.

Batalionów (wypchanych) 80.

Innego ptactwa wypchanego 30.

(Dok. nast.)



STANISŁAW BARABASZ

Z przeżyć myśliwskich

(Dokończenie)

Kozica mając strzaskane lotkami tylne łopatki, tak że wlokła badyle, nie dała się schwycić i musiano ją strzałem dobić.

Jeleń strzelony kulą półpłaszczową 8 mm na sztych, upadł na przednie badyle, powstał, upadł znowu, i stoczył się na bok.

Jeleń i łania strzelane taką samą kulą na komorę, nie zaznaczyły, uszły, biegnąc łukiem około stu kroków, zanim padły.

W starej Roztoce piesek ruszył jelenia, który mu się początkowo postawił i chciał go wyrzucić w powietrze. Piesek uskoczył i naszczekiwał, poczem jeleń uchodził przed psem, który go pogonił milczkiem.

Stałem wtedy za olszyną, która miała jeszcze trochę liści na sobie. Zatupotało nagle przedemną, jeleń wypadł a zobaczywszy mnie zawrócił z miejsca, robiąc ciałem pół obrotu w tył, stojąc na tylnych badylach. W tym skoku strzeliłem do niego na sztych przez olszynę. Jeleń poszedł.

Piesek przybiegł, powęszył trochę i pobiegł dalej. — W miejscu strzału napróżno szukałem farby albo sierści uciętej, z powodu mgły i deszczu niebardzo było jasno. Zawołałem psa, aby szukał, zaczął on specjalnie jakiś krzaczek obwąchiwać i tam znalazłem kawałek łoju.

Więc nie chybiony, a szukać trudno, bo pies nie prowadzi po tropie, zaś farby nigdzie niema. Wreszcie po długich poszukiwaniach, leśny zatrąbił, że jest.

Leżał na kamieńcu przy potoku Białejwody o kilkadziesiąt kroków od granicy, bardzo silny jeleń, chociaż dziesiątak nieregularny. Przy różach od strony zewnętrznej miał guzy wielkości orzecha. Oczyściwszy czaszkę, znalazłem drut owinięty poniżej róż. Złapał on się widocznie w pętlę drucianą, kiedy miał jeszcze rogi nie wykształcone, ukręcił drut a pętla została, uciskała możdżenie i spowodowała wyciek, w każdym bowiem guzie jest dziurka, przez którą drut przechodził.

Farbę znaleźliśmy dopiero w miejscu, gdzie zwierz leżał, widocznie rana zatkała się łojem. Kulę otrzymał w lewą pachwinę, serce zostało rozerwane, wątroba i kiszki przestrzelone, bobki były rozsypane wewnątrz, mimo tego jeleń szedł około 200 kroków, dopiero krwiotok wewnętrzny go powalił.

Strzelany był kulą 9,3-82 mm, została ona gdzieś w szynce. Jaka dziwna różnica! Z dwóch jeleni strzelanych na sztych, jeden pada na miejscu, drugi idzie daleko, zanim padnie.

Znaną jest ostrożność jelenia, czasem jednak bywa on mniej ostrożny od rogacza i da się podejść. Na zrębie pasł się śpiczak, chcąc go bliżej obserwować, szedłem ku niemu niezbyt cicho, będąc jednak zasłonięty pniem świerka. Śpiczak słyszał mnie idącego i musiał ruch

widzieć, począł bowiem iść ku mnie i dopiero będąc już blisko, spostrzegł swą pomyłkę i skoczył w las.

Biorąc na polowanie nową, niewypróbowaną lub obcą broń, trzeba być przygotowanym na różne niespodzianki.

Buszując wczas rano po młodniku, wszedłem na kamienistą drogę jezdną prowadzącą na Goły Wierch, gdzie zobaczyłem niespodzianie jelenia stojącego na sztych, i patrzącego na mnie z podniesioną głową. Ponieważ stał w cieniu i rogi miał zakryte gałęziami świerka, chwyciłem lornetkę aby przekonać się, co to za sztuka i rozpoznałem bardzo silnego byka.

Ostrożnie podniosłem trzylufek i wziąłem na muszkę stojącego teraz na połeć jelenia. Cyngiel nie dał się pocisnąć. Sądząc, że bezpiecznik zamknięty, odłożyłem strzelbę, aby go odsunąć, a jeleń tymczasem skoczył w gąszcz. Bezpiecznik jednak był odsunięty, tylko spust zamków bezkurkowych był twardy, do czego nie byłem przyzwyczajony, gdyż miałem dotychczas broń kurkową.

Z owym trzylufkiem nie darzyło mi się. Chybiłem z niego do stojącego jelenia, używając celownika przeznaczonego na 250 kroków. Pokazało się później przy próbie, że kule na tę odległość przy tym celowniku, trafiały o 60 cm wyżej, w dodatku celownik był tak lekko osadzony, że za lada trąceniem przesuwał się na bok.

Podobny wypadek miałem z pożyczonym karabinkiem manlicherowskim na polowaniu na niedźwiedzia, którego chybiłem. Na trzeci dzień chybiłem z niego lisa i rogacza stojącego o kilkadziesiąt kroków. Przekonałem się później, że na sto kroków kule trafiały o 60 cm wyżej.

Na Orawie polowaliśmy z psami, które pogoniły rogacza i odgoniły go daleko, tak, że gonu długi czas nie słyszeliśmy. Wreszcie po czterech godzinach nawróciły go. Leśni strzelali do niego bezskutecznie, aż przyszedł na mnie i został po strzale. Pokazało się, że ten rogacz miał przedni badyl ustrzelony wysoko i dawno zagojony i potrafił na trzech badylach tak długo chodzić przed psami.

Idąc z doliny Strążyskiej na Grzybowiec, dostrzegłem w grubym lesie leżącego rogacza. Poznawszy, że ma piękne parostki, zacząłem go ostrożnie podchodzić, co mi się zupełnie udało, bo przyszedłem do niego na dwadzieścia kilka kroków.

Rogacz leżał bokiem do mnie zwrócony, tylko łeb miał zakryty grubym świerkiem. Nie ruszyłem go z powodu, że w grubym lesie w skoku strzał byłby bardzo problematyczny z małokalibrowego sztucerka o kuli ołowianej, a do leżącego nie chciałem strzelać.

Czekałem tedy cierpliwie aż wstanie. Trwało to trzy kwadranse. Wreszcie rogacz dźwignął się, wyciągnął i począł się czochrać tylnym badylem za uchem. Wtedy dostał kulę i zwalił się w tył. Rożki miał wprawdzie nieuperlone, ale bardzo pięknie ukształtowane.

Rogacz otrzymał strzał w łopatkę z lewej strony. Oglądając go, zauważyłem z prawej strony guz pod skórą, sądząc, że to jakiś dawny postrzał, przeciąłem skórę aby wydobyć lotkę, i wydobyłem zamiast niej, swoją kulkę ołowianą zdeformowaną w kształcie grzybka, która się dopiero przy skórze zatrzymała.

Z innym rogaczem miałem taką przeprawę. Będąc raz koło wodociągu zakopiańskiego na żelaznej drodze, zobaczyłem jak przeszedł koło mnie rogacz o wspaniałych rożkach, jakich tutaj jeszcze nie widziałem. Niestety miałem wówczas w ręku tylko parasol. Postanowiłem tedy spotkać się z nim, będąc lepiej uzbrojonym. Czatowałem na niego w tej okolicy codziennie wieczorem przez cały tydzień.

Jednego popołudnia wyszedłem wcześniej niż zwykle, i zająłem stanowisko w reglach na skałce, między grubym lasem powyżej, a młodzikiem poniżej skałki. Niedaleko na łące, dzieci ze szkoły ludowej odbywały majówkę, z muzyką i śpiewami. Bardzo to miła rzecz majówka, muzyka, śpiewy i tańce dla myśliwego czatującego na rogacza! Siadłem tedy zrezygnowany na skałce, patrząc na tę zabawę. Pomimo hałasu żerowały dwie pojedyńcze sztuki w młodziku podemną, lecz o słabych parostkach.

Naraz słyszę za memi plecami w lesie beknięcie grubego rogacza. To niezawodnie ten oczekiwany. Siedząc na skałce ruszyć się nie mogę, bukowe liście pod nogami szeleszczą, a rogacz beczy ciągle blisko. Zaczynam więc siedząc skręcać się powoli w prawo, i gdy już miałem głowę o tyle zwróconą, że mogłem dojrzeć rogacza, ten skoczył w gąszcz. Widziałem tylko, że ma za wielkie rogi w stosunku do głowy.

Skoczyłem czemprędzej na nogi z gotowością do strzału, licząc potrosze na to, że rogacz może wróci popatrzeć co to tam siedziało. I rzeczywiście, wrócił, beknął jeszcze raz i padł martwy.

Tak, to był rzeczywiście ten rogacz, na którego tak cierpliwie czatowałem przez tyle wieczorów, dziesiątak nieregularny o bardzo pięknem operleniu. Najpiękniejsze to rożki, jakie zdobyłem.



JAROSŁAW HUBÁLEK

Demon puszczy

(Autoryzowany przekład Wład. Karnkowskiego)

(Ciąg dalszy)

Nastało rykowisko jeleni. Z dalekich stron schodziły się naprzód stare matadory — ośmnastaki, a nawet jakiś królewski dwudziestak zawitał hen od Marmaroszu. Ryknęły raz i drugi — i umilkły. Miejscowe byki zaczęły się oznajmiać o tydzień później, lecz zato bez przerwy. Pogoda dla rui wymarzona: chłodne dni, nocne przymrozki, przelotne deszcze dzienne.

Z całego rewiru, a nawet okręgu, ściągały jelenie na ulubione swe stanowiska godowe. Te też złote czasy nastały dla rysiej rodziny. Matka, świetnie wtajemniczona w arkany rykowiska, znała na pamięć wszystkie przechody zwierzyny. Wystarczyło zasiąść i czekać. Już pierwszego dnia powaliła starą łanię, podążającą za głosem serca. Łania była tęga, trzecia jej część zaspokoiła głód naszej trójki. Po dwóch dniach padł nieduży szóstak. Nadszedł wreszcie ów dzień nieszczęsny, a sam Bóg wie, jak się to stało. Rysica czatowała w gąszczu na zwalonym jaworze o trzy metry od przechodu jeleniego, rysięta tuliły się za nią. Ścieżyną szła młoda łania. Rysica gotowa do skoku, odbiła się od kory drzewnej naciągniętemi pazurami i na spokojną oblubienicę jelenią, jak piorun — spadła żółto-płowa śmierć.

W najrozkoszniejszej chwili ssania ciepłej, żywej krwi, czujne ucho rysicy, ostrzegło ją o niebezpieczeństwie. Za zakrętem ścieżyny leciuchno chrupnęła na ziemi gałązka. Jednym skokiem, była rysica bezpieczna — w gęstwinie, rysięta zaś opóźniły się, czy to z niedoświadczenia, czy z łakomstwa — dość, że te parę sekund stało się dla nich wyrokiem. Na ścieżce ukazał się człowiek, w mundurze leśnika, niemłody już, zlekka siwiejący. Za nim leśny Hawran wiódł na smyczy pięknego hanowerskiego tropowca. Rysięta z ciekawością spojrzały na tego nieznanego twora — krótka ta chwila jednak wystarczyła strzelcowi. Błyskawicznie rzucił sztucer do oka i ciszę leśną przerwał suchy trzask kulowego strzału. Rysiak padł na zwłoki łani, rysiczka rzuciła się do ucieczki. Leśniczy bez rozkazu spuścił psa ze smyczy, który w kilku skokach dogonił zdobycz. Skoczyła wprawdzie biedna rysiczka na młody buczek, lecz ostry pies dopadł wcześniej, nim się wyżej wdrapać zdołała i nie zważając ani na kły, ani pazurki, głęboko wpite w jego skórę, zadusił biedactwo i martwe złożył u nóg swego pana.

„Teraz szukajmy starej!“ Ba! ale gdzie ta stara już jest? Ogromnemi skokami uchodziła z fatalnego miejsca, usłyszawszy zaś strzał — zdwoiła jeszcze szybkość. Już na przeciwległem zboczu była, gdy usłyszała konający głos rysiczki. Jak to się stało, że wcześniej nie złowiła uchem kroków ludzkich? Czy ją słuch zawiódł pierwszy raz w życiu? Czy może szli boso?

Był to po prostu fatalny zbieg okoliczności.

Na rykowisko przyjechał gość dostojny, któremu snać sprzykrzyły się łowy na chuderlawe, zwyrodniałe i napół oswojone jelenie kulturalnych równin, dające się nie podchodzić, lecz podjeżdżać bodaj samochodem. Zawitał do dzikich Karpat, gdzie idzie się na rykowisko z małą nadzieją strzału, ale skąd można przywieźć wieniec piętnastokilogramowy. Zapomni tu na całe dwa tygodnie o swych troskach zawodowych, skrzepnie na duszy i na ciele pod sklepieniem stuletnich buków i klonów. Wygód nie użyje. Spać musi na ziemi pod prymitywnym dachem z desek łupanych siekierą, przy ogniu, którego dymem będzie się dusić i przesiąknie nim jak grzyb.

Wybrał sobie ten właśnie rewir. Z doświadczonym myśliwym — Hawranem, tutejszym leśnym, już trzeci dzień bez strzału podchodzili. Wstawali, drżąc z zimna, o wschodzie słońca, pili herbatę z okopconych na ogniu garnuszków, kładli buty na grubych, gumowych podeszwach, niezmiernie cichych w chodzie i wyruszali w las. Idąc tak od Kamiennego Stolca na Rownyj Plaj, usłyszeli nagle głuchy odgłos padającego ciała. Ani przez myśl im wówczas nie przeszło, że o sto kroków od nich dokonano tragicznego mordu.

A możeś, miły czytelniku, rozczarowany ucieczką matki, zostawiającej swe młode na pastwę losu, byle samej unieść głowę całą? Nie potępiaj jej zbyt pospiesznie! Nie ustąpiłaby przed całą gromadą dzików, położyłaby życie w obronie młodych bodaj przed trąbą słonia, tu jednak w drogę wszedł nieprzyjaciel mocniejszy nad wszelkiego zwierza — człowiek, opatrzony bronią, co zabija na odległość. Każdy zwierz leśny od wieków pije zmieszaną z mlekiem matki — mądrość życia: ustąp przed człowiekiem. Ustąp zawsze, w każdej okoliczności — to nie zwierz — to Los twój, twoje Fatum! Tu twoja odwaga na nic. Zwycięży cię zawsze i wszędzie. Spytaj tysięcy i tysięcy twych przodków, jaką śmiercią zginęli? A nie widzisz, że nawet rozkazuje niektórym zwierzętom? że mu służą i kot i ptactwo i pies?

I w tej mądrości wychowany zwierz wszelaki, unika człowieka, jak może, a jeśli niekiedy napada, to jedynie w ostatniej rozpaczy i najkonieczniejszej obronie życia. Olbrzymi niedźwiedź ucieka jak zając przed obławą, a stanie na zadnie łapy tylko raniony ciężko, lub mając drogę zastąpioną.

Rysica tedy posłuchała jedynie głosu krwi i tradycji. I ją kiedyś uczyła matka trzymać się zdala nawet od śladów człowieka. Ostatniej zimy widziała sama, jak towarzysz jej zginął z ręki człowieka oddalonego może o paręset metrów. Człowiek ma w ręku tyle dziwnych i niezrozumiałych śmiercionośnych broni, że istotnie niema lepszej rady, jak wogóle, nawet nie widzieć tego wroga na oczy.

Wyniosła się tedy rysica do innego rewiru. Przeszła Pielukę i spuściła się w iglaste zbocza Połoniny, należącej do innego nadleśnictwa państwowego. Rykowisko już się skończyło, zwierzyna jelenia rozeszła się po swych zwykłych ostojach. Z napotkanego przypadkiem stada owiec, urwała trzy sztuki, nasyciła się i poszła dalej, siejąc postrach wśród zwierzyny i dobytku. Opanowała

ją jakaś szatańska żądza krwi i mordu. A może po prostu chęć zemsty za śmierć dzieci i własne sieroctwo? Nie wiem. Dość, że mordowała wszystko i bez potrzeby. Stała się odważną do szaleństwa. Nie dbając o wielkość i siłę ofiary, napadała na byka równie bez rozmysłu, jak na wiewiórkę, na jelenia, jak na jarząbka. Nie ustępowała z drogi nawet dzikowi, z którym i niedźwiedziowi lepiej nie zaczynać. Jest to bowiem zwierz odważny, a tak gruboskórny, że rany prawie nie czuje; wydaje się wprawdzie niezgrabnym, ale jest w boju szalenie uparty i świetnie włada jedyną swą bronią — kłami. Nie gryzie, ani nie kopie, lecz zwiesi łeb do ziemi, by zasłonić czułe gardło i nadstawi nieprzyjacielowi swój byczy kark i pancernie twardy grzbiet, a biada, jeśli zawadziwszy kłem, pociągnie ryjem w górę. Pod takiem uderzeniem pęka wszystko, każdy muskuł, każda kość. Nie przetnie, lecz rozerwie. Rany takie, na pozór lekkie — obezwładniają natychmiast, goją się ciężko, wywołując jeśli nie śmierć, to kalectwo. Twardość ryja i siłę karku posiada olbrzymią. Jednym ruchem przewraca kamienie i podważa pnie przechodzące kilkakroć jego własną wagę.

Rysicy było to obojętne, choć dobrze o tem wiedziała. A może tak była ufna w swą siłę, że nie mogła sobie wyobrazić oporu?

Lekki wietrzyk nocny przyniósł jej z doliny kwik prosięcy. Warchlak wiecznie kaprysi. Choć locha pilnie pracuje ryjem, by wyrzucić z ziemi coś smacznego dla swych małych, te wciąż grymaszą, wciąż pokwikują.

Bez namysłu poszła rysica prosto na kwik. Ujrzała dwa warchlaki igrające z sobą pod wielkim bukiem, kilka innych czmerało się w wysokiej trawie. Starej nie było widać. Podpełzła więc, jak mogła, najbliżej i skoczyła. Warchlak wystraszony kwiknął przedśmiertnie i padł. Ożyły trawy. Z wściekłem chrząkaniem rzuciła się locha na rysicę. Był to atak niespodziewany, morderczyni jednak się nie ulękła. Wprost od ofiary, skoczyła na matkę i utopiła w niej wszystkie pazury. Locha jednak nie padła pod tem strasznem uderzeniem. Ciężki jej łeb błyskawicznym ruchem podniósł się w górę i rysica jak kamień wyrzucony z procy, padła o kilka metrów dalej. W oczach jej rozgorzały zielone błyski wściekłości i rzuciła się powtórnie. Ze spuszczonym nisko łbem przyjęła locha atak i powtórnie rysica wyleciała w powietrze, przyczem jeden kieł, na szczęście u loch krótki, wjechał jej pod łopatkę i dotkliwie rozerwał muskuły. Nieprzytomna z wściekłości, chciała po raz trzeci się rzucić, lecz szalony ból w łopatce przywiódł ją do opamiętania. Kulejąc, opuściła plac boju i to sromotnie bo w ucieczce, locha zaś, choć farbując silnie — gnała ją ze zjeżoną szczecią i groźnem chrząkaniem. — Wkrótce jednak, widząc, że warchlakom nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, powróciła do gromadki, trwożnie wtulonej pod korzenie starego buku. Opodal, na zbroczonej krwią zieleni traw, leżało jedno jej dziecię, z przetrąconym krzyżem, w agonji. Obwąchała je kilka razy, ostrożnie przewróciła ryjem na drugi bok, a widząc, że już niema żadnej nadziei, chrząknęła wściekle

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

MYŚLIWI WIDMA

Na Litwie, obecnie Kowieńskiej, znajduje się jezioro Ilstalsno.

O tem jeziorze następującą opowiadają legendę:

Dwóch znanych w całej okolicy myśliwych wybrało się wraz z psami pewnej pogodnej niedzieli na jezioro Ilstalsno, na polowanie.

Jezioro to znane ze swej piękności, z lekka marszczyło się za lada podmuchem wiatru. Na niebie nie było żadnej chmurki.

Trzciny tylko szemrały, prowadząc ze sobą jakąś tajemną rozmowę. Czasem odezwała się kurka wodna, czasem kaczka z głośnym łopotem skrzydeł zrywała się, by zapaść w inne miejsce.

Pozatem panowała przepotężna, wszechwładna cisza.

Myśliwi — a było ich dwóch — siedzieli, zagarniając od czasu do czasu wiosłami wodę. W tyle łodzi rybak, z nieodstępną fajeczką w zębach, sterował łodzią, długim, grubym drągiem.

Cicho i bezszelestnie płynęła łódź, rozchylając dziobem las trzcin i szuwarów.

Czasem wśród trzcin zamajaczyło stadko nielotnych kłapaczy, wówczas psy z głośnem ujadaniem rzucały się do wody i prując ją piersiami, gęsto przebierając łapami, dopływały do kaczki, chwytały ją w zęby i taszczyły do łódki. Częściej jednak kaczka, dawszy nurka, uciekała przed rozwartemi mordami psów myśliwskich.

Wtem z głośnem gęganiem i łopotem skrzydeł podniosło się z szuwarów stadko dzikich gęsi.

Myśliwi niemal równocześnie, wymierzyli i równocześnie padło dwa strzały.

Jedna z gęsi załamała się w locie i wolno łukiem zaczęła spadać.

Pies bury, wściekły, z krwią nabiegłemi oczyma rzucił się i jeszcze żyjącą podał swemu panu.

A kiedy ten trzymając ją za skrzydła i nogi, zaczął bić jej łebkiem o burtę łodzi, by skrócić jej męki, daleki grzmot odezwał się na północy.

Myśliwi spiesznie zaczęli kierować swą łódź do brzegu, niestety byli daleko; ciężką i daleką mieli jeszcze drogę przed sobą.

Grzmoty stawały się coraz głośniejsze, częstsze i bliższe.

Wiatr porwał się piekielny.

Zahuczało Istalsno. Z głośnym hukiem przelewały się bałwany, zalewały łódź.

Trzciny z trzaskiem i sykiem łamały się i gięły za każdym podmuchem wiatru.

w kierunku ucieczki rysicy i zwoławszy pozostałe warchlaki, uprowadziła je z sobą.

Mocno poturbowana rysica dowlokła się do barłogu, niemego świadka niedawnego jej szczęścia macierzyńskiego. Locha dobrze jej się dała we znaki. Niemal nie czuła prawej, przedniej nogi. Chociaż kość nie była złamana, lecz rana za to bardzo dotkliwa, a właściwie dwie: jedna od kła lochy, druga od uderzenia o wystający sęk drzewa. Trawiona gorączką, ugasiła pragnienie w potoku, potem na trzech nogach z trudnością wydrapała się na złomy skalne i zniknęła w barłogu. Przez kilka dni leżała z bezwładną łapą, wychodząc jedynie do potoku. Ostrym, jak zgrzebło językiem masowała rozerwany muskuł, odkażając równocześnie ranę. Dzięki tym zabiegom odzyskała władzę w nodze, a rana zaczęła się zabliźniać.

Wychudzona, słaba i śmiertelnie głodna, opuściła wreszcie barłóg. Jak na pośmiewisko, pierwszem, co spotkała na drodze, była gromadka spokojnie pasących się dzików. W rysicy zakipiało gniewem, lecz wspomnienie niedawnej porażki otrzeźwiło ją, i zeszła wstydliwie na bok, obchodząc dziki gąszczami. Tej nocy całą jej zdobyczą było kilka myszy i suseł. Nie była jeszcze pewna chorej nogi, i dlatego spokojnie minęła jelenia, mając go ledwie na jeden skok od siebie. Wstrzemięźliwość na krótką metę, bo na drugi już dzień leżał pod skałą ładny ósmak z objedzonemi na pół pieczeniami. Znaleźli go naganiacze podczas polowania na dziki. W mig spletli z gałęzi nosze, i wzięli jelenia z sobą, jako, że żal im było mięsa. Rysica, przyszedłszy na resztę uczty, a nie widząc jej na swojem miejscu, poszła śladem i doszła do wniosku, że człowiek nietylko zabija zwierzęta, ale i okrada je. Traf chciał, że leśny podczas obchodu rewiru dnia następnego, natknął się na napoczętego widłaka. Zaklął siarczyście pod adresem rysicy i zawrócił do domu. Jeszcze przed południem przyniósł mocne żelaza, odwietrzył je dokładnie farbą widłaka i ukrył w błocie między jego badylami.

Nazajutrz oczom nie wierzył. żelaza sklapnięte, z widłaka jeno głowa i przednie badyle, rysicy ani śladu. żeby ta szelma bezkarnie ucztowała przy zamkniętych żelazach i to z takim spokojem, to przechodziło miarę jego wyobraźni. A jednak było to takie proste! Zawadziła przy szarpaniu mięsa zadnim badylem widłaka o spust i żelaza się zamknęły. Przestraszona odskoczyła o parę metrów. — Dobre dwie godziny ukryta w gąszczu, obserwowała podejrzane zjawisko. Potem napoczęła ofiarę z drugiej strony, grzbietnej, obżarła się dokładnie i dalej w las!

* * *

Każde umieranie naturalne, ma w sobie coś pięknego. Przyroda, ta miłująca i mądra matka, najmniejsze nawet ze swych dzieci przygotowuje do tej chwili, kiedy zimna dłoń śmierci na niem spocznie. Twór przyrody układa się na zimowy odpoczynek, czy na łoże śmierci, powoli, z wiarą w zmartwychwstanie. Niema tu starań o przedłużenie życia, niema leków, ani lekarzy. Niema płaczów, ani rozpaczy i żałoby — jeno spokojne oddanie

---

A wiatr dął piekielny, wył i gwizdał na trzcinach, niczem upiory na piszczelach ludzkich.

Łódź gnana wiatrem, oddalała się coraz bardziej od brzegu.

Wtem piorun błysnął, w tej samej chwili rozstąpiła się woda, ukazując swe dno, jakby prosząc w odwiedziny gości w łódce jadących.

Niebo otwarło się. Potoki, morze deszczu wylało się, a jezioro w tej samej chwili zaczęło przybierać. Coraz bardziej zaczęły się oddalać brzegi, coraz potężniejsze i głośniejsze wydawało się Ilstalsno.

Ludzie idący do kościoła na nabożeństwo, przypatrywali się walce łódki z rozpętanym żywiołem. Niestety nie mogli pomóc.

Już jedno wiosło złamane, rzucane bałwanami, niosła woda.

Psy skoczyły do wody, płynąc ze wszystkich sił do brzegu.

Jeden z nich wygramolił się z trudem, ociekający wodą na brzeg, drugi znalazł śmierć w nurtach jeziora.

Pioruny waliły jeden po drugim, zlewając się w jeden piekielny huk.

Bałwany przykrywały wprost sobą łódkę, by ją ukazać znowu na chwilę zebranemu nad brzegiem tłumowi.

Zdawało się, że oślizgłe macki syren i nimf wodnych wynurzały się z przeklętej toni, by porwać i zawładnąć myśliwymi.

Jezioro huczało coraz bardziej, coraz większe fale przelewały się przez łódź, znajdującą się już prawie ciągle pod wodą.

Dziwnem się wydawało, że łódź ta, niczem jakaś łupina, unoszona przez fale, tak opierała się żywiołowi.

Z głośnym hukiem waliły fale w burtę łodzi, pochylały ją ku toni rozpętanego jeziora.

Wreszcie piorun uderzył tuż przy łodzi.

Toń jeziora otwarła się, a gdy zamknęła, nie widać już było łodzi ani ludzi.

Istalsno pochłonęło ludzi i łódź.

A kiedy lud wracał z kościoła, tafla jeziora spokojną już była. Żaden wiatr nie mącił jej nieskazitelnie równej powierzchni.

A gdy ludzie z bosakami i niewodami udali się na poszukiwania ciał topielców, znaleziono tylko strzelby.

I odtąd każdy, kto poluje w niedzielę, widzi na Istalsnie samotną łódź z dwoma myśliwymi i rybakiem u steru, błądzącą samotnie po jeziorze, jakby przestrogę dla innych.

Taką to legendę słyszałem z ust żołnierzy, w czasie zawieruchy wojennej, przechodzących koło przeklętego jeziora Istalsna.

się konieczności. — Toteż kłamią ci, co twierdzą, że jesień leśna jest smutna. To omyłka suggestywna człowieka patrzącego na wszystko ludzkiemi oczyma. Tu niema śmierci, a tylko sen, potrzebny, jak woda i powietrze, tak roślinie, jak i zwierzęciu. Usiądźmy na chwilę na tym kamieniu, obsypanym żółtym, opadłym liściem. Przed nami stary buk zapuścił swe ogromne chropawą korą pokryte korzenie między głazy, ongiś mrozami od macierzystych skał oderwane. O jego starości nie mówią nam przeżyte lata, nie badamy ksiąg gospodarskich leśnego taksatora, nie zważamy na rozmiary starca. I w przyrodzie można być młodym w latach sędziwych, lub starym w młodości. Po czem innem poznamy, że starzec stoi nad grobem. Oto pień od samego korzenia, stosunkowo do górnych partyj jest dziwnie gruby, jakby napuchły. Pomarszczona kora zieleni się mchem, po którym wprost w górę pełznie dziki bluszcz, rozkładając pełne, jędrne, zielone listki, równo po obu stronach łodygi. Oko laika z lubością spoczywa na miłem zjawisku, leśnika żal przejmuje na widok umierającego olbrzyma. Lecz są i inne znaki niechybne. Piękny, fantastyczny grzyb, zwisający, jak filcowy kapelusz na jędrnym pozornie pniu, to agonja buku. Trzyma się jednak krzepko, koronę pięknie rozkłada, liść w lecie jędrny i zdrowy, choć jądro pnia przegniłe. że pierwszy huragan górski zwali olbrzyma, nic to; pod jego koroną wesoło buja młodzieńcza gęstwa potomków. Tesame prawa życia i zamierania widzimy u kwiatu i u owada. Wszędzie grób obok kolebki, kolebka obok grobu. W kolebce tkwi zarodek grobu, w grobie zadatek zmartwychwstania kolebki. Podziwiam i kocham to umieranie w Przyrodzie. Jest w niem dostojność i piękno. Ginie w niem i topnieje uzurpowane pierwszeństwo człowieka. Tu zapominam o własnych bólach, własnych troskach, czuję się maleńkiem dzieckiem Wszech-Przyrody i dumny jestem, że z niej się począłem.

Kto wie? może te same myśli snuły się po głowie rudego demona naszej rysicy, grzejącej się w ostatnich ciepłych promieniach jesiennego słońca. Leżała na boku, a białe podbrzusze świeciło na czarnym głazie, jak kupka śniegu. Leniwie rozłożona to kurczyła, to wyprężała łapy, wysuwając raz wraz sierpowate pazury z pochew. Drzemała. żółte, ognia i krwi pełne ślepia, przymknęła sennie drgającemi nerwowo powiekami. Jeno uszy jej nie znały spoczynku. Czarne pędzelki poruszały się niespokojnie na wszystkie strony. Wprawdzie słońce świeciło jasno, lecz miejsce tak zaciszne, wokół taki spokój, że leśny demon czuje się zupełnie bezpiecznym. Zresztą ma straż czujną opodal. O parę kroków, w koronie klonu tańcują zawzięcie swawolnice — sikorki. Świergolą wesoło, gonią się po gałęziach, a czułe przecież są i płochliwe.

A jednak omyliła się rysica. Przed wszystkiem mogły ją ostrzec ptaszyny, jeno nie przed człowiekiem, bo pocóż same go się bać miały? Na co jemu ich życie lub śmierć potrzebne? W puszczy niema chłopców z procami, ani floberowych nemrodów strzelających do każdego żywego tworu poczynając od wrony, a kończąc na żabie. Zresztą nie mogły nawet dojrzeć na trzysta kroków postaci odzianej w półkożuszek. Stał tam leśny. Ogarnął spojrzeniem całe dzikie piękno otoczenia, groźne cmentarzysko stoczonych z gór głazów i powalonych leśnych olbrzymów-drzew. Aż oko jego spoczęło ciekawie na białej plamie. Dla upewnienia się, sięgnął po lornetę. Tak jest. To ryś wygrzewa się na słońcu! Co robić? Na strzał za daleko, a o podejściu szelmy niema mowy. Wszędzie zeschłe liście, przez kamieniste zwały nie przejść bez szmeru... Trudno, trzeba ryzykować!

Zwolna, z największą ostrożnością, jakgdyby rysica nie była dalej nad dwadzieścia kroków, zdjął karabinek z ramienia. Oparł broń o gałąź drzewa i wymierzył starannie. Rozległ się suchy trzask, rysica jednym skokiem zniknęła wśród głazów. Leśny bez namysłu ruszył za kulą. Z największym wysiłkiem przedarł się przez ostre głazy i znalazł ten, na którym rysica leżała. Pokazało się, że kula nieco zdołowała. Wierzchnia płaszczyzna kamienia była nieco zaokrąglona, mógłby był zatem pocisk rykoszetem ugodzić rysicę w piersi, gdyby nie niewielki załam w kamieniu. Kula półpłaszczowa trafiła w załom i nieszkodliwie rozerwała się na kawałki. Jakieś pięćdziesiąt kroków szedł leśny śladami rysicy, napróżno szukając farby, poczem zarzucił sztucer na ramię i zniknął w lesie.

* * *

(C. d. n.)



Dr. STANISŁAW KOŹMIAN REJCHER

Pies

Dokończenie

W Europie zachodniej, wyżeł najwcześniej zjawia się na ziemiach Italji. W „Zentralblatt für Jagd- und Hundeliebhaber" z roku 1893, pisze prof. Siber:

„Mam wrażenie, że nigdzie, tylko w Italji powstał krótkowłosy wyżeł. Znajduję miasta w Italji, szczególnie w Dolnej, gdzie prawie każdy pies jest wyżłem. Dzielą się one na najrozmaitsze gatunki, lecz każdy z nich wietrzy dobrze i dobrze wystawia. Posiadam kilka kopij starych obrazów włoskich z podobiznami psów, które wykazują, że były to psy legawe włoskie, zwane „Brachi da ferma". Istniały one przed 2000 lat".

Włosi otrzymali psa myśliwskiego bardzo wcześnie od Greków, którzy przecież posiadali swoje porty handlowe na wschodniem wybrzeżu morza Adrjatyckiego. Skrzyżowanie psa myśliwskiego Afryki z psem Molossem dało szorstkowłosego wyżła włoskiego „Spinoni".

Według Dra C. von Muralta (Der alte spanische Pointer) i nadleśniczego Krichlera (Die spanischen Vorstehhunde"). Hiszpanja posiadała kilka odmian wyżłów. Oprócz krótkowłosego „Pachón", który w niektórych odmianach podobny jest do trójkolorowego wirtemberskiego wyżła, miała Hiszpanja sławnego „Perdiguero", którego, dzięki swemu nadzwyczajnemu węchowi i własnościom wystawiania, do Anglji przewieziono i tam skrzyżowany z Foxhound'em i chartem a także z innemi prawdopodobnie odmianami psów, dał podwaliny do sławnych dzisiaj na całym świecie Pointerów.

Francuzi wcześniej otrzymali pointera, aniżeli Anglicy. Świadczy o tem obraz Desportes i Oudry, znajdujący się w Musée National du Louvre z czasów Ludwików XIV i XV. Obraz przedstawia pointery wystawiające bażanty. Pointer francuski jest nieco odmienny od pointera angielskiego. Pochodzi to stąd, że powstał on z krzyżowania psa egipskiego z psem par force, co dało Griffona szorstkowłosego i krótkowłosego. Pointera dzisiejszego udoskonalili hodowcy angielscy, choć powstał on, powtarzam, uprzednio we Francji.

Odrębnie zupełnie zapatruje się świat kinologów na powstanie długowłosego psa myśliwskiego, którego reprezentantem jest prastary Spaniels. Strebel rozpoczyna dział grupy Spanielsów następującemi charakterystycznemi słowami:

„Zdaniem mojem trudno jest dać odpowiedź, skąd i gdzie powstała ta rasa. Należy ona w każdymbądź razie do najstarszych".

Dotychczas dowodziłem, że praformą psa myśliwskiego jest pies egipski i że czaszka Canis famil. Intermedius z grupą tą nic wspólnego nie miała. W grupie psów myśliwskich, uwypukliły się trzy formy, raczej kształty psów do siebie podobnych (objaw konwergiencyjny). Palustris — jest typem pierwszym. Pies myśliwski powstały z krzyżowania się charta z psem Pariasem Sudanu, jest typem drugim. Wreszcie Woldricha Canis Familiaris Intermedius, który według wywodów Kellera jest mieszańcem psa torfowego z psem epoki bronzowej, jest typem trzecim.

Jeżeli studja osteologiczne Studera wykazały, że Intermedius powstać mógł zarówno z typu Palustris, jak też z psa epoki bronzowej, to zdaje się na mocy tego, że i czaszka psa Spanielsa jest właśnie wytworem tego krzyżowania. Szkielet Spanielsa znaleziono jeszcze w osadach okresu bronzowego.

Historja wykazuje, że pies kształtu Spanielsa, używany był do polowania za czasów Filipa II-go, t. j. w IV stuleciu przed N. Chr. Mamy z tego okresu płaskorzeźbę z odpowiednią podobizną.

Kodeks Alemański (lex Alamanorum), wiek VII naszej ery, podaje, że do polowań z sokołami, używano psa myśliwskiego małego, z włosem długim, zwanym „Canis acceptorius", który według wszelkiego prawdopodobieństwa, był właśnie typem Spanielsa.

Znany również jest obraz Teniersa, znajdujący się we Wiedniu, z XVII stulecia, wyobrażający Spanielsa albo po niemiecku Wachtelhunda.

Wreszcie posiadamy opis psa Spanielsa w „Aufrichtiger Lehrprinz" z roku 1751, który brzmi:

„Wyżły-kuropatwiarze są psami średniej wielkości, krępe, długowłose, maści tygrysowatej, dosyć ruchliwe, węch mają dobry. Wystawiają zające, kuropatwy, przepiórki, lubią jednak gonić sarny. Chcąc by wystawiały, trzeba dużo pracy, żeby ich od gonienia odzwyczaić. Łatwe są do wszelkiej tresury, strzału się nie boją, aportują dobrze i nawet sztuk rozmaitych uczyć się dają. Na kuropatwy szczególnie dobre są hiszpańskie wyżły. Jeżeli spotkają zwierzynę, to pogonią za nią i z oczu znikną myśliwemu na dłuższy czas."

Podobnie opisuje te psy Flemming w „Vollkommener deutscher Jäger" z roku 1719, nazywając je także „Stöberami".

Gaston Phoebus pierwszy nazwał je w „Miroir de Phébus" „espainolz". Nazwa ta nie znajduje nigdzie wytłumaczenia.

Krichler, według von Muralta, twierdzi, że rasa ta nigdy w Hiszpanji nie istniała. Nie wspominają o niej żadne pisma łowieckie. Hiszpanie używali do polowań psy importowane z Francji i Anglji.

Siber, redaktor „Zentralblatt'u" w tym samym czasie co i Kirchler, ogłasza, że stosownie do najskrupulatniejszych wywiadów, o istnieniu psa myśliwskiego hiszpańskiego wątpić musi. Nazwa Epagnuel albo ma inne zupełnie znaczenie aniżeli pochodzenie z Hiszpanji, albo też oznaczać ma rodzaj łowów, powstałych w Hiszpanji.

Wszystkie dokumenty potwierdzają, że wyżeł spaniel, powszechnie do polowań na ptactwo był w użyciu, miłuje on się jednak poważnie w szukaniu i płoszeniu zwierzyny. Dzięki swym wszechstronnym zdolnościom i swemu wzrostowi, cieszył się sympatją w domu a naj-

więcej adorowały go panie. Dlatego też widzimy go często na obrazach malarzy średniowiecza. Któż nie zna obrazu van Dycka: portrety dzieci króla angielskiego Karola I-go, z psem kuropatwiarzem.

Rasa spanielsów była bardzo rozpowszechniona.

W XVI wieku były te psy w użyciu w Anglji. Cajus i Gessner, opisują barwnie polowanie ze spanielami. Według nich poluje on cicho, pana swego słucha i rozkazom jego jest posłuszny. Zwietrzywszy kuropatwy, staje, jak wąż podpełza do nich na najbliższy dystans i kładzie się, pilnie wpatrując się w ptactwo. Nadbiegli pomocnicy łowieccy wiedzą z położenia psa, jak rozłożyć sieci i kury do nich dostać. W Angli, nazywano te psy Sittings-Spaniels (to sit — siedzieć) albo krótko Sitters, skąd powstała późniejsza nazwa Setter. Przekształcenie spanielsów w Settery, nastąpiło później. Prawdopodobnie skrzyżowano, wyselekcjonowanego wyższego Spaniela z psem Pointerem, sprowadzonym z Francji, o którym wyżej wspomniałem. Z tego małżeństwa powstała pierwsza odmiana setterów białych z czerwonemi albo czarnemi plamami. Kiedy się rozpoczęła systematyczna hodowla dziesiejszego settera, dokładnie niewiadomo. Settery w innej formie niż powyższe, istniały już w Anglji przed spanielsem. Na obrazach Albrechta Dürera (1471—1528), Francois Desportes (1661—1743) mamy podobizny dawnych setterów. Settery Dürerowskie powstały prawdopodobnie przez krzyżowanie psów myśliwskich egipskich z psami znajdującemi się na terytorjum Brytanji, dzięki czemu powstały psy, podobne do późniejszych setterów aż nareszcie przekształciły się w settery dzisiejsze uprzednio wchodząc w mezaljans ze spanielsem.

W Anglji wnet po rozpoczęciu racjonalnej i systematycznej hodowli setterów, powstają Gordony i Irlandzkie. Później powstaje Cocker, springer spaniels.

Jako produkt mezaljansu Cockera z Maltańskim i japońskim, powstaje Toy-spaniels.

Na tem kończę moje studjum o psach wogóle a myśliwskich w szczególności. Poczuwam się do szczerego i miłego obowiązku złożenia na tem miejscu, serdecznego i szczerego podziękowania panu prof. Tschudy z Bazylei i p. prof. Kraemerowi z Giessen za pomoc w odszukaniu materjału koniecznego do powyższego studjum, jakoteż za zawsze chętną pomoc w wyświetlaniu niejasnych i zawiłych zagadnień.



MIECZYSŁAW KRUSZEWSKI

W obronie mego artykułu

„Zdemaskowanie myszołowa"

(Panu Al. Przedrzymirskiemu w odpowiedzi)

Obojętnym może być dla mnie sam fakt, czy ktoś z mojem zapatrywaniem się zgadza, lub nie, ale nie jest dla mnie obojętnem, gdy mi ktoś zarzuca „nieścisłość" lub „pomyłki" w faktach, które ja wyraźnie jako skonstatowane przytaczam!

Dlatego tylko zabieram jeszcze głos.

Otóż nie chcąc posądzać Szan. Autora artykułu „Nasze myszołowy" o chęć uzurpowania dla siebie monopolu „obserwatorskiego" (co jednak między linjami wyczytać się daje) i nie chcąc nudzić czytelników „Łowca" mojem „curriculum vitae", śmiem twierdzić, że polując od lat około 4 w okolicy obfitującej w obydwa gatunki myszołowów, potrafię rozróżnić myszołowa od palambariusa i że podane fakty badałem przed podaniem ich do ogólnej wiadomości, co do autentyczności myszołowa bardzo skrupulatnie, nie mając w zwyczaju pisania anegdotek do „Kącika humorystycznego".

Jeżeli myszołów został złapany na kurze, kaczce lub w samotrzask na żywym gołębiu, to trzeba przypuszczać, że on „bił" na te ptaki! Na stadko żywych kuropatw bijącego widziałem, jak to podaję, osobiście na odległość 15 kroków! A w zimie kuropatwy chowające się w śniegu, które i ze sanek batem zabić by można, choć nie są „dogorywające", nie stanowią trudnej zdobyczy dla żadnego drapieżnika, o tem wie u nas każdy chłopiec wiejski!

Dla ścisłości dodaję, że u nas w zimie jest więcej myszołowów zwykłych (które tu zimują), niż wołochatych; moje osobiste obserwacje odnoszą się w przeważnej części do zwykłych.

Mogę podać kilka obserwacyj i z innych źródeł pochodzących:

W roczniku „Łowca" z r. 1884, znaleźć można wiadomość podaną przez... horribile dictu... samego „mistrza" ś. p. Kazim. Wodzickiego: że w wolu myszołowa znalazł 2 główki ...kuropatw!

Druga wiadomość w tym Roczniku, jest podana przez autora podpisanego tylko inicjałami, że znalazł w wolu myszołowa 2 główki małych ptaszków! Wydaje się conajmniej wątpliwem, aby wszystkie te ptaszki były wzięte przez myszołowy w stanie nieżywym.

W pow. Rawa Ruska (wschodnia Małop.) w maj. Tarnoszyn, zebrał p. Włodz. Patraszewski, następujące doświadczenia z myszołowami:

Co roku na kosze z gołębiami łapało się po kilka myszołowów, a po kilkanaście gołębiarzy. Ostatniej zimy z powodu wyłapania gołębiarzy, stosunek ten się odwrócił. Ale myszołowy widocznie zmądrzały: p. Patr. zaobserwował mianowicie, że myszołowy atakują gołębia szponami przez kosz z boku i zabijają go.

Raz spędziwszy myszołowa z kosza, wyciągnął p. Patr. nieżywego już gołębia z niego i podsunął go pod krzyż na koszu; myszołów krążył podczas tej manipulacji nad p. Patr. Po odejściu p. Patr. na 30 kroków od kosza, myszołów siadł znów na boku kosza, szponami wyciągnął gołębia z pod krzyża i ku niemałemu źdźiwieniu p. Patr. uleciał ze zdobyczą!

Nauczony doświadczeniem p. Patr., zaczął od tego czasu zakopywać kosze w śniegu tak, aby wierzch kosza ze śniegu wystawał, i do końca zimy złapał w ten sposób 16 myszołowów!

„Bicie" myszołowa na kuropatwy, obserwował p. Patr. wiele razy, ale ani razu w jego oczach kuropatwa nie została wzięta. Gdy się razu pewnego kuropatwy przed myszołowem schroniły w krzak tarniny, zaatakował je nawet na piechotę, ale kuropatwy z drugiego końca krzaku wyleciały.

Ale może Niemcy jako „prokuratorzy" są dla Szan. Autora i wogóle dla wysokiej palestry obrońców myszołowa więcej wiarygodni? (chociaż swego wieku nie podają!)

Właśnie teraz zajmują objawy tej „kruciaty" i „Gorączki Myszołowowej" także i Niemców, z tą jednak różnicą, że jakoś brak tam zupełnie głosów obrony (dotąd nie ma ani jednego!)

Otóż w Nr. 23 z 7/VI b. r. „Wild u. Hund": P. Hugo Salzmann, przewodniczący na okręg Gotha, Ogólno Niemieckiego Związku Myśliwych (A. D. J. V.), prosi o podanie faktów skonstatowanej szkodliwości łowieckiej („jagdschädlich") myszołowów i pisze dosłownie tak: „Z pewnej strony próbuje się ciągle myszołowa („Rauchfuss- u. Mäusebussard") uznać za zupełnie dla łowiectwa nieszkodliwego. Większość („der grösste Teil") **doświadczonych** myśliwych zajmuje inne stanowisko i nie bagatelizuje sobie („verkennt nicht") niebezpieczeństwa, które może powstać dla naszej drobnej zwierzyny („Niederjagd") z tej propagandy, jeżeli myszołów będzie zupełnie broniony. Proszę więc..."

Ponieważ to się dzieje w Niemczech a nie u nas, więc posypały się dowody, jak z rogu obfitości:

W Nr. 26 „W. u. H." z dnia 28/VI b. r. p. Oberamtmann R. Peter z Dössel koło Wettin a. S.: 20/V b. r. strzelił do nisko 1½ nad ziemią lecącego myszołowa („Bussard"), trzymającego w szponach jakąś zdobycz. Myszołów poleciał straciwszy parę piór, a zdobycz opuszczona na ziemię, okazała się świeżo urodzonem sarniątkiem..., które po wyleczeniu ran od szponów, wychowane zostało mlekiem, a dalej tak pisze autor: „...że myszołów jest wielkim łajdakiem („Halunke"), było mi już dawno wiadomem, bo około 20 kuropatw zostało wziętych przez niego tej zimy przy jednej z budek do karmienia, aż czas ochrony dla tego świętoszka, („Heiligen") został zniesiony (Saksonia).

Nr. 31 „W. u. H." z 2/VIII b. r., pisze p. O. Troemper „Hegemeister" u. R.: 7/V b. r. o 7 wieczór obserwowałem z ambony, jak myszołów uderzył ze sosny, na której siedział, na młodego zająca, został jednak przez obserwatora spłoszony, zostawiając tylko na miejscu garść turzycy; a dalej tak pisze: „...że skargi na szkodliwość myszołowów mnożą się w ostatnich czasach..."

W Nr. 32 „W. u. H." z 9/VIII b. r., pisze: Leśniczy państwowy E. Schröder: 30/VI b. r. porwał myszołów kurczę z podwórza leśniczówki w jego oczach i kończy słowami: „O du harmloser, scheinheiliger Halunke!"

Na zakończenie podać jeszcze mogę jako tę brakującą kropkę nad „i" następujące ogłoszenie, w niewdzięczny wprost sposób kompromitujące wszystkie szlachetne intencje obrońców myszołowa:

W Nr. 36 „W. u. H." z dnia 6/IX b. r., str. 842 na dole: „Baizvogel entflogen. Junger Mäusebusard auf Ruf „Hasso" gezogen, als Baizvogel in Schule, entflog mir am 18/VIII 29 beim Füttern. Er träge am linken Städer schwarzes Falkengeschüh mit Schnallring. Bei irgeneinem Antreffen oder unglücklichen Abschluss bitte ich um Rückmeldung. Dr. med. H. Philipp — Dresden — Döbritz".

Sokolnictwo rozwija się w Niemczech w ostatnich czasach coraz bardziej — więc przypuszczać należy, że tamtejsi sokolnicy powinni być zorjentowani w doborze ptaków, które potrafią nie tylko na myszy lub „dogorywającą" zwierzynę polować!

Korespondencje

Instytut badań ścisłych nad życiem ptaków drapieżnych

Chodzi głównie o myszołowa. Musimy tej sprawie nadać inny kierunek, wyprowadzić ją z chaosu opowiadań, bajek, osobistych spostrzeżeń, przez nikogo nie kontrolowanych, którym się wierzy, lub nie wierzy, zależnie jedynie od dobrej woli.

Jak naprzykład mogę wierzyć każdemu przygodnemu autorowi, skoro spotykałem zawodowych leśników, którzy się nie wyznawali w gatunkach drapieżników lub nie znali ich życia? U jednego z nich znajduję na ławce świeżo zastrzeloną sówkę. „A bo ona mi wyżerała młode gołębie". Z pasją chwytam za nóż, otwieram malutki żołądek, wypełniony szczelnie kłębkiem z mysiej sierści, pazurków i ząbków i podsuwam mu pod oczy. Gołąbki zaś, jak się pokazało, padały ofiarą szczurów.

A jedna sówka, lub sokół wieżowy, to 365 myszy w roku. A jeden myszołów, to ich przynajmniej 3650. — Mości Rolnicy, to nie jest rzecz obojętna w Waszem gospodarstwie i kraju. A jednak wielu z Was tępi lekkomyślnie najwierniejszych swoich sprzymierzeńców w imię formułki: „wszystko co ma krzywy dziób, jest szkodnikiem" — formułki zbyt prostej i wygodnej, aby mogła odpowiedzieć skomplikowanym przejawom życia przyrody.

Interes rolników i myśliwych nie jest w tej sprawie jednaki. Podczas gdy szkodą materjalną, gospodarczą, ponoszą po równi obie strony, to obowiązek moralny spoczywa tylko na myśliwych. Śmiem twierdzić: honor łowiectwa wymaga, aby sprostować kręte ścieżki wojen-

ne, na których zasadza się istota dwunożna na istotę skrzydlatą, nie rozeznając wroga od sprzymierzeńca. Samowola i łupiestwo winny być wykorzenione z szeregów, które mają swój chlubny sztandar i szczycą się karnością.

Jakiż może być sposób rozjaśnienia tej sprawy, skorośmy doszli do przekonania, że żadne artykuły i polemiki do celu nie prowadzą. Oczywiście jak dla kogo. Dla jednych to, co napisze pan Aleksander Przedrzymirski jest ewangelją łowiecką, bo to jest łowiec przed Panem a badacz i miłośnik przyrody niezrównany. Inni zaś mają cały horyzont myślenia przysłonięty widokiem myszołowa bijącego na kuropatwy. A z tem biciem dzieją się cuda. Proszę sobie przypomnieć, kto czytał z uwagą spostrzeżenia przeciwników, ile razy na sto, dajmy na to bicie, przychwycili oni tego ptaka ze zdobyczą w szponach. Weźmy np. choćby ostatni w tej sprawie artykuł w Nrze 17 „Łowca". Pisany przez bardzo poważnego myśliwego, więc trzeba się z nim liczyć. — A jednak, co to znaczy? „W zimie ubiegłej zastrzelono u mnie 7 myszołowów, bądźto bijących na kuropatwy, bądźto pożerających przez siebie ubite". Ile było tych, a ile tych, kto strzelał i stwierdzał, czy autor, czy służba leśna, i w jakich okolicznościach? — A dalej: „myszołów bił kilkakrotnie na stado kuropatw... i t. d." aż został spędzony. Wierzymy autorowi bez zastrzeżeń, że tak było, ale jakiż z tego wniosek? Gdzie kuropatwa w szponach? Czy nie zastanawia, taki silny drapieżnik i o tak wspaniałym wzroku, jeżeli ma poważne zamiary, to powinien się rzucić jak strzała na zdobycz widzianą i wybraną już na kilometry przedtem? Czy widział kto kiedy inną taktykę u gołębiarza i jemu podobnych rabuśników?

Czego ów się kręcił nad stadkiem, nie moja rzecz dochodzić, bo dalecy jesteśmy od tego aby znać wszystkie impulsy psychiczne zwierzęcia. Bądźmy tedy ostrożni w interpretowaniu ich, a przedewszystkiem ostrożni i skrupulatni w obserwacji. Widziałem raz bardzo blisko myszołowa sterującego w kierunku stadka, które w miernym popłochu zaczęło się rozsypywać. Było to bicie? Bynajmniej. Myszołów spłynął najspokojniej tuż nad główkami kuropatwiemi na ziemię, aby schwycić i zeżreć mysz. Byle człowiek, chodzący wolno po polu, natknie się od czasu do czasu na kuropatwy, przedstawmy sobie ile razy musi się to zdarzyć myszołowowi, który nieustannie na ziemię spada i chętnie na niej przesiaduje. A jak będzie taki przypadek zrozumiany i tłumaczony?

A teraz drugi obrazek oglądamy z wózka. Tuż przy gościńcu siedzi myszołów na skibie. Na tle zmierzchającego nieba ukazuje się drugi i w pełnym locie wpada na siedzącego. Ten błyskawicznie rzuca się wstecz z rozpostartemi skrzydłami, aż uderzył grzbietem o skibę i nadstawia wrogowi rozwarty dziób i szpony. Zdjęcie migawkowe i śliczny obrazek. Było to bicie? Oczywiście, ale w zabawie. Rzekomy napastnik przeleciał tak nisko nad swoją ofiarą, że musiał ją musnąć lotkami i usiadł o kilkanaście kroków dalej, śmiejąc się z żartu.

Czy młodemu myszołowowi nie przychodzi czasem ochota popłoszyć i inne ptaszki, kręcące się na jego obszarze? Nie wiem, ale też nikt mi nie powie, że to nie jest prawdopodobne.

A jeszcze jedno. Niech ktoś z tych, którzy zastawiali łapki na koszu z gołębiem, powie, że złapał w nie kiedykolwiek myszołowa.

Ale wróćmy do poszukiwania nowej drogi. Musi być droga ścisłych, że się tak wyrażę, naukowych badań. Wymaga ona, aby przy badaniu nie pozostał ani jeden szczegół mogący być dowolnie tłumaczony a dowód musi być dostarczony nie słowny, ale realny, namacalny.

Przebieg akcji byłby następujący:

1) Redakcja „Łowca" wzywa myśliwych do przesyłania osobistych spostrzeżeń. Mniej więcej jak dotąd, tylko dokładniej. Natomiast jako istotny i decydujący warunek będzie wymagać dołączenia rzeczowego dowodu w postaci zabitego drapieżnika lub w ciepłej porze przynajmniej jego łapki z częścią podudzia, aby było jeszcze widoczne upierzenie. Nie do pogardzenia jest również skrzydło i choćby jedna sterówka z ogona, jak również żołądek, który może zawierać bogactwo dowodów na jedną czy też drugą stronę. (Żołądek można przesłać w słoiku ze spirytusem lub kilkunastoprocentową formaliną).

2) Wydział M. T. Ł. zakłada stację do badania i klasyfikowania okazów. Najprościej będzie wejść w porozumienie z pracownią zoologiczną którejkolwiek wyższej uczelni, z której każda w interesie nauki, chętnie do akcji przystąpi. Członek Wydziału, pan Witołd Ziembicki, będąc sam przyrodnikiem i zapalonym poszukiwaczem prawdy, najsprawniej to porozumienie z innymi mężami nauki przeprowadzi. Dla uproszczenia roboty, będzie się wprost do wskazanej pracowni odsyłać swe okazy wraz z całym dokładnym opisem okoliczności, wśród których zostały zdobyte. Pracownia po zbadaniu i określeniu gatunku, dopisze swoją opinję na przysłanym opisie i odeśle Wydziałowi.

3) Wydział będzie te dane zbierał i co jakiś czas, co kwartał lub pół roku ogłosi je w „Łowcu" wedle pewnego stałego schematu.

Wszelkie opisy i spostrzeżenia autorów, będą brane pod najkrytyczniejszą uwagę. Tylko wypadki oglądane osobiście i bezpośrednio, z odległości i w warunkach wykluczających możliwość pomyłki, mogą być brane w rachubę, czyli że tylko drapieżnik ubity w chwili rozszarpywania stworzenia pożytecznego czy szkodliwego, czy też unoszący to stworzenie w szponach, czy też noszący resztki jego w swoim żołądku, tylko i jedynie taki, będzie przyjmywany jako dowód. Opisy takie, jak: „na mojem polu uwijały się dwa jastrzębie, jednego z nich udało mi się zastrzelić, a później znalazłem i szczątki zająca, rozszarpanego przez nie", albo „nad stadkiem kuropatw ukazał się myszołów z wyraźnym zamiarem zaatakowania ich, albo „widziałem jak myszołów bił kilkakrotnie na stadko", — takie

opisy będą przez Redakcję wprawdzie mile widziane, ale umieszczane w dziale poezji.

Otwieram składkę. Przesyłam Szanownej Redakcji cztery łapki z drapieżników schwytanych na koszu z gołębiem. Zapewniam słowem delegata, że tylko ten rodzaj się schwytał, inne choć znacznie liczniejsze, nawet się do kosza nie zbliżały, zastawiałem trzy kosze będące własnością Towarzystwa myśliwskiego przez dwa lata sam i sam ptaki zbierałem, z niektórych tylko niestety zachowując łapki.

4) Wydział M. T. Ł. złoży komisję, która się zajmie sporządzeniem i wydaniem barwnej tablicy drapieżników krzywodzióbych, wraz z krótkim tekstem zawierającym opis każdego z nich. (Tablica już istnieje wydana przez ś. p. prof. Sztolcmana. Red.) — Z tem również zaapelowaćby należało do pana Witołda, który w rzeczach wydawniczych a zwłaszcza z zakresu ornitologji, ma bogate doświadczenie.

Tablicę tę roześle Wydział wszystkim prenumeratorom po cenie kosztów a nadto będzie się starał rozpowszechnić ją w jak najszerszych kołach, winna się ona bowiem znaleźć w każdej kancelarji rolnika, w każdej leśniczówce, a nawet w izbie strażnika łowieckiego.

To będzie pierwsze dzieło projektowanego Instytutu a przyczyni się ono niemało do sprostowania niejednej pomyłki, do rozstrzygnięcia niejednej wątpliwości, do uspokojenia niejednego sumienia a wreszcie do ujednostajnienia sprawozdań łowieckich. Zniknąć wówczas będą mogły z łamów „Łowca“ takie sprawozdania nic nie mówiące, jak: „ubito u nas szkodników tyle a tyle, w tem jastrzębi tyle a tyle“. *Zaw. del.*

Wystawa Łowiecka w Poznaniu Wykaz nagród

Uzupełnienie Wykazu nagród z „Łowca” Nr. 18 i 19 1929, opuszczone przez zecera.

34. Maurycy hr. Potocki: Złota tarcza nr. II. za szable dzicze; 1 medal srebrny za szable dzicze; 1 medal srebrny za szable dzicze; 1 medal srebrny za dzika; złota tarcza za kolekcję głów wilczych; 1 medal srebrny za kolekcję 3 głów rysi; 1 medal srebrny za kolekcję głuszców; 1 medal srebrny za kolekcję cietrzewi; 1 medal srebrny za dwa skrzekoty; 1 medal bronzowy za gongoła; 1 medal duży złoty P. W. K. za cały zbiór.

35. Leon Książe Sapieha: Złota tarcza za kolekcję kłów słoniowych; złota tarcza za parę kłów słoniowych; 1 medal srebrny za kolekcję głów bawolich; 1 medal mały złoty P. W. K. za cały zbiór.

36. Kpt. Władysław Przybylski: 1 medal srebrny za czaszkę górskiego barana — Azja 1906.

37. Józef hr. Potocki: Złota tarcza za skórę tygrysa — Indje 1927.

38. Alfred hr. Mycielski: 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za szable dzicze; 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za łopaty daniela.

39. Leon Kiszakiewicz: 1 medal mały srebrny i list pochwalny P. W. K. za cały zbiór rożków sarnich.

40. Inż. Stefan Myszkowski: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 medal srebrny za szable dzicze.

41. Paulina hr. Bnińska: 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 list pochwalny P. W. K. za napis zachęcający do hodowli.

42. Fryderyk Wilke: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 2 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal srebrny za wieniec jelenia.

43. Eryk v. Witzleben: Złota tarcza za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 1 medal mały złoty P. W. K. za cały zbiór.

44. Zbigniew hr. Żółtowski: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 1 list pochwalny P. W. K. za cały zbiór.

45. Stanisław hr. Łącki: Złota tarcza nr. III. za wieniec jelenia Kresów Zachodnich; 1 medal srebrny za kolekcję wieńców jeleni; złota tarcza za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 2 medale srebrne za anormalne rożki sarnie; 1 medal srebrny P. W. K. za cały zbiór; 1 medal bronzowy za dropia.

46. Franciszek hr. Żółtowski: 1 medal srebrny za kolekcję szabel dziczych; 1 medal srebrny za szeble dzicze; 2 medale bronzowe za szable dzicze; 1 medal bronzowy P. W. K. za cały zbiór.



Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

(Ciąg dalszy)

Kuna leśna (tumak, nie wolno chwytać) również bardzo szkodliwa dla kuraków, zajęcy i koźląt. Przebywa stale w lasach, za dnia przeważnie wśród koron i w dziuplach drzew, także w opuszczonych gniazdach wiewiórczych, wronich i drapieżnych ptaków. Ukrytą w dziuplach drzew można wykurzyć płonącą siarką, czasem dla wypłoszenia wystarczy kilka silniejszych stuknięć o drzewo. Tu i ówdzie zdarzy się ustrzelić ją na polowaniach z nagonką. Można też zapolować po wytropieniu jej na ponowie i o ile drzewa pokryte są większą okiścią. Wówczas idzie się za tropem na śniegu a w przerwach tropu, wskutek wyskoczenia kuny na drzewo i przeskakiwania na inne, postępuje się za strząśniętą okiścią, aż w końcu zwykle dochodzi się do kryjówki kuny w dziuple lub stosie drzewa, kupie kamieni i t. p., skąd się ją wykurza lub w inny sposób wypłasza. Łowienie kuny leśnej w żelaza, pułapki i t. p., nie jest ustawą dozwolone.

T c h ó r z (wolno także chwytać), mniejszy od kuny i nie tak ostrożny, niemniej jednak niebezpieczny i szkodliwy rabuś zwłaszcza dla przyziemnych gniazd z jajami i lęgów ptactwa. Lubi przebywać obok potoków i stawów, także w pobliżu osad ludzkich, na wiosnę ściąga na pola i łąki, także do lasów, wyrządzając wszędzie z powodu swej krwiożerczości znaczne szkody. Chwyta się naogół łatwo. Obok łapek miażdżących i małych żelazek z przynętą jajka, stosuje sie z bardzo dobrym skutkiem, bezpieczne dla otoczenia, mniejsze łapki skrzynkowe, które rozstawia się ukryte na różnych drobnych nęciskach z odpadkami ryb i przy użyciu obwłoki. Polować nań można, choć z niepewnym skutkiem, przy wytropieniu na ponowie, czasami też spotyka się go na polowaniu z łaciczką na króliki.

G r o n o s t a j i ł a s i c a albo łaska, znacznie mniejsza od gronostaja (wolno także oboje chwytać), jakkolwiek najmniejsze i niepozorne wśród drapieżników, to jednak może najniebezpieczniejsze i najszkodliwsze rabusie dla drobnej zwierzyny użytkowej. Gdzie ich zawiele, tam nie może być mowy o podniesieniu drobnego zwierzostanu. Przebywają wszędzie, wśród zabudowań wiejskich, pól i lasów, w bażantarniach, w dziupłach i stosach drzew, kupach kamieni, norach króliczych, krecich, mysich itp. Przy pilnem dozorowaniu terenu, możliwym jest częsty odstrzał tych szkodników, wabią się też z łatwością na pisk myszy. Wabiki takie otrzymać można w magazynach broni, a do przygodnego odstrzału na wabika mamy największą sposobność w czasie wypoczynków wśród polowania. Przy odpowiedniem kryciu, ewentualnie położeniu się na ziemi, posłużyć się możemy tym wabikiem do zwabienia także na strzał wałęsających się zdziczałych kotów, a w lasach w ukryciu i przy zachowaniu możliwej ciszy i nie paląc, zdarza się niekiedy ustrzelić przy tym wabiku nawet lisa. Czasami zgłaszają się na ten apel także wrony i sroki.

Chwytać można gronostaje i łasice w łapki skrzynkowe bez przynęty, lecz możliwie z użyciem obwłoki, w małe żelazka z przynętą myszy lub jajka, w łapki miażdżące, — także chwyta się je we wnyki druciane z przynętą, w tym ostatnim wypadku jednak potrzebnem byłoby osobne zezwolenie Min. Roln. wzgl. Województwa (obecnie Województwa — art. 51 d. i ost. ust. prawa łow.). Tępić je należy energicznie na wiosnę i w lecie, specjalnie przy pomocy dostatecznej ilości mniejszych łapek skrzynkowych, nastawionych zawsze w ukryciu, w polach sadzonych ziemniakami i burakami, pod miedzami, przy rowach i ściekach, pod kładkami, wśród krzaków, przy murach i t. p. Naogół dodajemy, że do ustawiania łapek skrzynkowych na kuny domowe, tchórze i łasice nadają się szczególniej także wąskie przesmyki i zrobione ścieżynki wśród gęstwin, zagajników, remiz i t. p. Dla tem pewniejszego skierowania drapieżników do wejścia do łapek można na obu końcach przed ich otworami na wylot i po obu stronach wzdłuż ścieżki ustawić pręciane ścianki, nasypki z ziemi, trawy i t. p. dla przeszkodzenia w wyminięciu łapek. Z tropów na przysypanym na ścieżkach piasku dowiedzieć się możemy o obecności drapieżników. (C. d. n.)

Stanisław Morawetz, sekretarz

Sprostowanie

W artykule Z Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie w Nr. 21 „Łowca" na str. 337, kolumna 1 w 3 wierszu od góry, opuszczono w druku po słowach „(art. 51 ust.", słowa: „1 prawa łowieckiego) wolno polować (tylko strzelać) na dziki, oraz aż do ewent. wprowadzenia czasu ochrony drogą rozp. Ministra Rolnictwa wzgl. Wojewody (art. 51 ust.". —

W 5 i 6 wierszu po słowach „(tylko strzelać) na" — winno być „lisy".

W tejsamej kolumnie w ustępie 2, wiersz 9 po słowach „(o ile" należy opuścić słowo „nie".

W ustępie 4, wiersz 3 zamiast „niedźwiątek" — ma być „niedźwiedziątek".

Na str. 338 wiersz 11 od góry, mylnie wydrukowano „O ochronie drobnej zwierzyny łownej... 2".

Komunikat

Rozszerzenie czasu ochronnego dla sarn, kozłów w powiecie stryjskim

Wojewoda stanisławowski, rozporządzeniem z dnia 31/X. b. r., Nr. A. D. 4949/Po. rozszerzył czas ochronny dla sarn-kozłów na obszarze całego powiatu stryjskiego na czas od 1/XI. b. r. do 31/I. 1930 r. Winni przekroczenia tego rozporządzenia, karani będą grzywną do 500 zł. oraz aresztem do 6 tygodni.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32